



15

Rysy na spizu



18

Czy Falenta
działał sam?

78

Nosowska
o wolności
i hip-hopie

100

Psi show
w Nadarzynie

Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin
Pierwsze wybory z czteropaka
15 Adam Szostkiewicz
Zasługi i winy Jana Pawła II

Polityka

- 18 Grzegorz Rzeczkowski
Wygrani na nagraniach
22 Ziemowit Szczerek
Smętne święto myśliwych

Społeczeństwo

- 26 Juliusz Ćwieluch
Uwaga pluskwy!
29 Paweł Walewski
Męskie wsparcie dla chorych kobiet
32 Edyta Gietka
Śląski kłopot prezydenta
34 Edwin Bendyk
Szanse dla ruchów miejskich



Rynek

- 36 Joanna Solska
Udręka metropolii – wynajem krótkoterminowy
40 Adam Grzeszak
Sprzedaż aut zwalnia?

Świat

- 44 Tomasz Zalewski USA
Wybory do Kongresu mogą zatopić Trumpa
47 Łukasz Wójcik
Populistyczna Międzynarodówka Steve'a Bannona
50 Paulina Wilk
Straszna broń – gwałty wojenne
52 Jędrzej Winiecki CHINY
Kłopotliwi marksiści

Historia

- 54 Andrzej Lubowski
Konkordaty z problemami
58 Tomasz Targański
Wojskowe operacje w kosmosie

Nauka

- 60 Andrzej Hołdys
Jak zatrzymać katastrofę klimatyczną
63 Rozmowa z prof. **Bogdanem Wojciszke**, psychologiem społecznym, o polskim narzekaniu

Ludzie i style

- 66 Marcin Piątek
Stracone piłkarskie talenty

- 70 Ryszard Wolff
**„Big Lebowski”:
wyznawcy Kolesia**

Kultura

- 78 **Katarzyna Nosowska** o jej nowej hiphopowej płycie „Basta”
82 **Janusz Kondratiuk**, autor dramatu „Jak pies z kotem”, o zmarłym bracie Andrzeju, równym filmowcu
86 Aneta Kyzioł **Serial „Ślepnąc od światła!” – oniryczny portret naszych czasów**
88 Justyna Sobolewska
Nowe przekłady klasyki
92 KAWIARNIA LITERACKA **Renata Lis**
93 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Na własne oczy

- 100 Agnieszka Sowa
fotografie Leszek Zych
Pieski świat

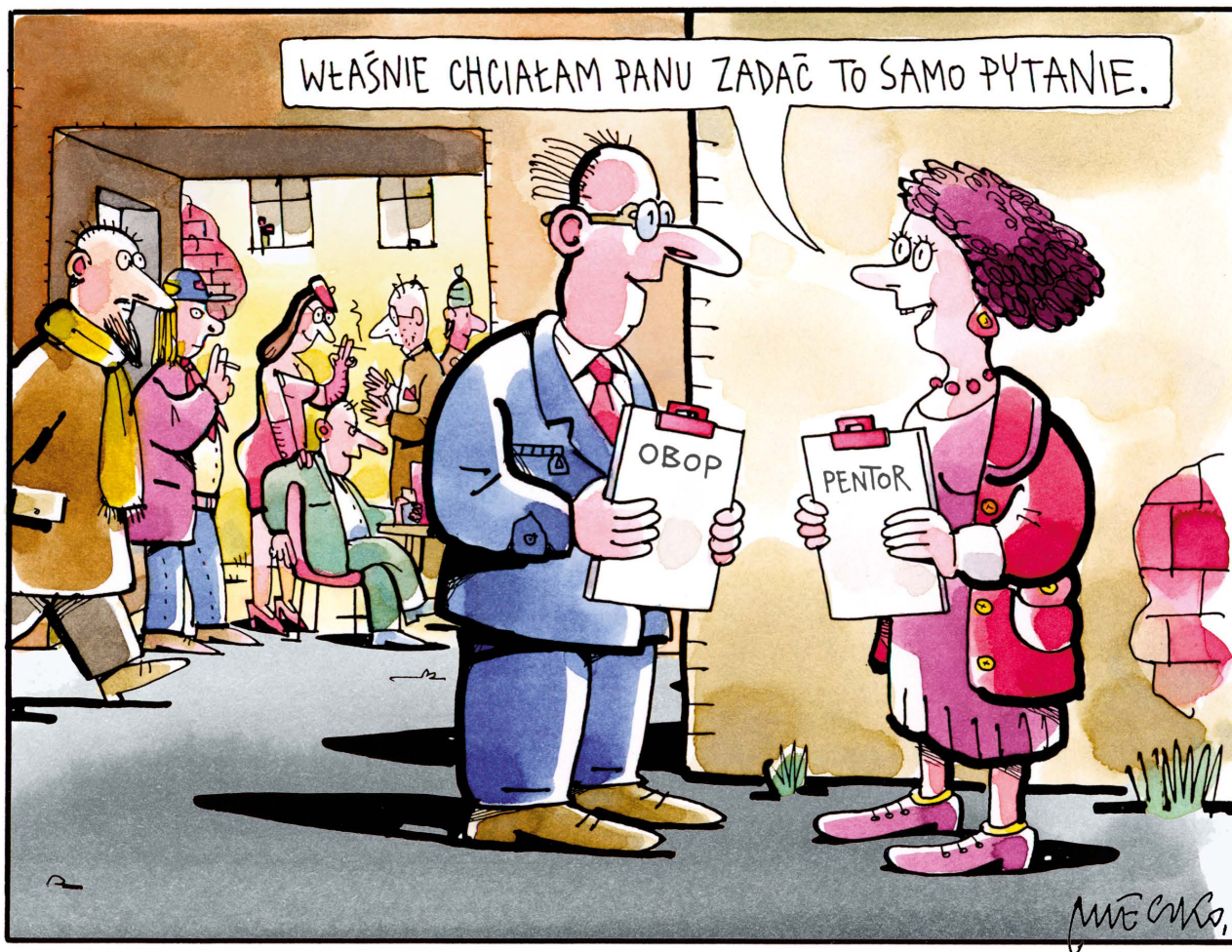
Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 43 Przegląd informacji rynkowych
- 74 Afisz
- 94 Za stołem
- 95 Passent
- 96 Hartman
- 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaj

PRENUMERATA PAKIETOWA: WYDANIE PAPIEROWE I CYFROWE W JEDNYM

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystribucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich z Państwa, którzy chcą mieć pewność zakupu POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej. Odwiedź stronę <https://sklep.polityka.pl/pakietowa>. Zadzwoń: +48 67 210 86 30. To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Dramatyczne bogactwo kultury

Według raportu specjalnej sprawozdawczynie ONZ ds. praw kulturalnych i praw człowieka, mająca miejsce w Polsce „erozja wolności w dziedzinie kultury zagraża bogactwu życia kulturalnego”. Zdaniem rządu żadnej erozji nie ma, a biorąc pod uwagę rosnącą liczbę rekonstrukcji historycznych, tablic upamiętniających żołnierzy wyklętych czy pomników Lecha Kaczyńskiego, bogactwo życia kulturalnego w Polsce jest dziś większe, niż się niektórym wydaje. Spektakularnym przejawem narodowego bogactwa jest także odkupienie przez wicepremiera Glińskiego kolekcji Czartoryskich za 100 mln euro oraz odkupienie od funduszu z Luksemburga kolejki linowej na Kasprowy. Powrót do macierzy tego narodowego klejnotu to wielki sukces kultury i sztuki negocjacji i dziedzictwa narodowego, bo kolejka jest w tak doskonałym stanie, że podobno fundusz z Luksemburga płakał, jak ją sprzedawał.

O sporym bogactwie świadczy wspierany przez wicepremiera Glińskiego rozwój teatru dramatycznego w Polsce. Z ustaleń Najwyższej Izby Kontroli wynika, że szczególnie dramatyczny jest obecnie poziom Teatru Polskiego we Wrocławiu, co płacówka ta zawdzięcza popieranemu przez Glińskiego dyrektorowi Cezaremu Morawskiemu. NIK wykazała, że w ramach promocji bogactwa w kulturze Morawski na deskach Teatru Polskiego stworzył



biznes przynoszący mu pokaźne zyski. Potwierdził w ten sposób, że istnienie polskiego teatru może się opłacać w każdej sytuacji, a nie tylko wtedy, gdy widzowie walą do tego teatru drzwiami i oknami, żeby obejrzeć jakąś sztukę.

Wicepremier Gliński w pełni popiera dramatyczny kierunek, w którym podąża wrocławski Teatr Polski, i daje do zrozumienia, że to nie widz będzie decydował o jego przyszłości. Zdaniem Glińskiego tego widza państwo musi najpierw sobie wychować, dlatego jak on nie chce do teatru pod dyrekcją Morawskiego przychodzić ze względu na zbyt dramatyczny repertuar, to niech nie przychodzi, z tym że dyrektor Morawski nie może z tego powodu cierpieć biedy. W tej sytuacji decyzja Morawskiego, aby poza pensją wypłacać sobie honoraria wysokości dziesiątek tysięcy złotych za reżyserię, scenografię, a do tego przekazywać sobie 2,7 tys. zł za każde wyjście na scenę, wydaje się zupełnie zrozumiała. Choć szkoda, że Morawski tak długo trzymał to w tajemnicy, bo uważam, że wielu widzów chętnie przyszłoby do Teatru Polskiego tylko po to, żeby zobaczyć, co Morawski za takie pieniądze odgrywa na scenie, dzięki czemu z miejsca podniosłaby się frekwencja.

Ta pierwsza niedziela



Jerzy Baczyński

Tak, to już ta niedziela: pierwsze od trzech lat wybory i pierwsze z czterech, które czekają nas do połowy 2020 r. Uważamy, że to będą – w sumie – najważniejsze głosowania od 1989 r., bo podobnie jak wtedy zdecydują o ustroju państwa i jego pozycji geopolitycznej. Przez niemal 30 lat praktykowania demokracji wybieraliśmy do władzy różne ekipy, ale wszystkie mieściły się w tym samym, mówiąc ogólnie, prozachodnim nurcie (nawet wliczając pierwszy rząd PiS). Dopiero po wyborach w 2015 r. PiS jednoznacznie zerwał ciągłość i konstytucyjną tożsamość tej Rzeczypospolitej, jaka wyłoniła się po upadku PRL i otrzymała historyczną nazwę Trzeciej.

Zręby nowego ustroju już niezłe widać: to, co robi PiS, jest próbą zbudowania państwa scentralizowanego, autorytarnego, monopartyjnego, pod wieloma względami przypominającego system odrzucony – zdawało się raz na zawsze – w 1989 r. Cała retoryka antykomunistyczna nie ma najmniejszego znaczenia wobec praktyki, którą Włodzimierz Cimoszewicz nazwał ostatnio polityczną rusyfikacją. Chyba nikt przed trzema laty nie spodziewał się, że to pójdzie tak szybko i zajdzie tak daleko. O ile sam wynik wyborów sprzed trzech lat, dający Jarosławowi Kaczyńskiemu i jego partii samodzielną większość parlamentarną, można było odczytywać także jako skutek niezwykłego politycznego zbiegu okoliczności (wyjazd Tuska, przegrana Komorowskiego, półprocentowy pech lewicy itd.), to teraz już nie będzie przypadkiem. Po trzech latach rządów PiS wiadomo, o co chodzi, jaka jest stawka i wybór staje się plebiscytem za lub przeciw.

Oczywiście wynik wyborów samorządowych jest tylko pewną prognozą, bynajmniej nieprzesadzającą o politycznej przyszłości Polski, ale może to być prognoza samosprawdzająca. To, że PiS zwiększy stan posiadania we władzach lokalnych, nie ulega wątpliwości: przed czterema laty startowali jako „wieczna opozycja”, partia słabo zakorzeniona w wielkich miastach, i mimo dużych wpływów na wsi i w mniejszych ośrodkach równoważona tam przez mocny PSL. Teraz, wykorzystując pozycję partii władzy, muszą przesunąć układ sił lokalnych w swoją stronę. Pytanie tylko jak bardzo? Spektakularna klęska opozycji w wyborach do sejmików i utrata choćby jednego–dwóch największych miast (zwłaszcza Warszawy) byłaby potwierdzeniem, że od „przypadkowych” wyborów w 2014 i 2015 r. PiS wzmocnił swoją społeczną legitymację, że niejako ex post otrzymał od wyborców rozgrzeszenie z łamania konstytucji, naruszania niezależności sądów czy psucia międzynarodowej reputacji Polski.

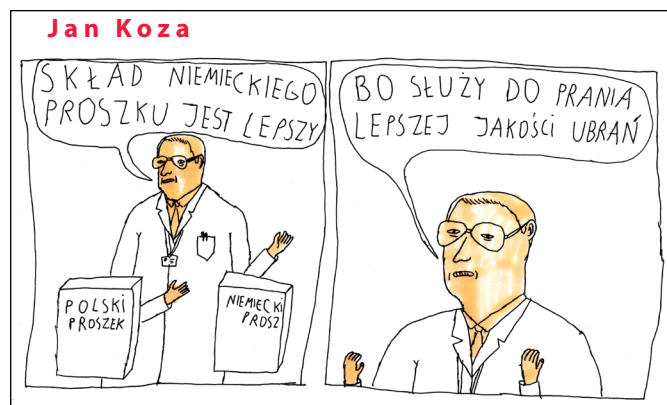
Nie da się bowiem wypreparować obecnych lokalnych wyborów z ogólnego politycznego kontekstu: trudno sobie obrazić, że ktoś głosuje na kandydata lub listę PiS, nie zgadzając się z tym, co ta partia robi w kraju i z krajem. Polaryzacja polityczna zaciera tradycyjną specyfikę tych głosowań, odbiera im lokalność, upolitycznia nawet na szczeblach rad gmin, dzielnic czy powiatów, gdzie jedno z najczęstszych dziś przedwyborczych ćwiczeń polega na próbach zidentyfikowania, jaka partia kryje się za kamuflującymi nazwami różnych lokalnych komitetów (więcej o tym na sąsiedniej stronie).

Zwracamy uwagę od początku obecnej kampanii wyborczej, że tym razem chodzi nie tylko o obsadę samorządów, ale o ich faktyczne przetrwanie. PiS nie ukrywa, że dąży do stworzenia systemu hierarchicznego, gdzie „terenowym organom władzy państwowej” przypada rola, jak to się kiedyś mówiło, pasa transmisyjnego. Główny wyborczy przekaz PiS (o czym szerzej piszemy na s. 8 i 12), że pieniądze publiczne będą trafiać głównie do „współpracujących z rządem samorządów”, w końcowej fazie kampanii został jeszcze zaostrożony deklaracjami warszawskich kandydatów partii Piotra Guziąła i Patryka Jakiego. Nawet jeśli zapowiedź sankcji wobec mieszkańców stolicy została potem oficjalnie złagodzona, zamiar perswazyjny był czytelny do bólu. PiS często tak robi, że jakiś radykalny pogląd wygłaszają akolici, co pozwala jednocześnie powiedzieć i nie powiedzieć. W każdym razie mieliśmy do czynienia z „afetą reprivatyzacyjną Patryka Jakiego”, bo kandydat PiS na prezydenta Warszawy dał do zrozumienia, że pieniądze publiczne są de facto własnością partii i jej ludzi.

Jaki skutek wyborczy będzie miał ten lekko zawaolowany (ale stosowany powszechnie w tej kampanii) szantaż, trudno powiedzieć, choć pewnie im większe miasto, tym mniejszy. W ogóle kampania samorządowa PiS, która przez specjalistów marketingu politycznego była uważana za nieporównanie lepszą niż opozycyjne, nie przyniosła rządzącej partii znaczących sondażowych zdobyczy. Kandydaci PiS na prezydentów dużych miast w ostatnich badaniach gromadzili między 20 a 25 proc. głosów, a więc znacznie poniżej ogólnopolskiego poparcia dla partii. Jeśli opozycja miałaby zatrzymać polityczny marsz PiS do pełni władzy, to właśnie teraz; w tych wyborach jest na to szansa. Ogólnokrajowa słabość ugrupowań opozycyjnych nie jest tak widoczna na poziomie lokalnym. Polacy na ogół są zadowoleni z warunków życia w swoich miejscowościach, nie lubią zmieniać sprawdzonych gospodarzy, raczej cenią sobie autonomię lokalnych władz i to też przemawia na korzyść kadr nie-PiS. Zresztą, wobec jawnie centralistycznych zamiarów władzy, określenie „samorządowiec PiS” brzmi jak oksymoron, w typie – cytując żart dawnego felietonisty POLITYKI Michała Radgowskiego – „parlamentarzysty radzieckiego” czy „Wodogrzmotów Mickiewicza”.

Już za kilka dni, po pierwszym wyborczym teście, dowiemy się, jakie są dziś realne polityczne preferencje i nastroje Polaków. To nie będą łatwe wybory, choćby ze względu na wielość list, ogromną liczbę kandydatów, zdawkowość programów, wymieszanie racji lokalnych i ogólnych. Ale aż do momentu wrzucenia kartek do urny mamy czas, żeby się do zadania przygotować. Zawsze, od dziesięcioleci, zachęcamy do głosowania. Jednak tym razem jeszcze bardziej, bo rozpoczyna się wielki wyborczy pojedynek, na który każdy z nas został wyzwany. Stąd ten Gary Cooper na okładce.

Nadszedł czas, żeby bronić swoich miast i praw.



POMOCNIK WYBORCY

jak głosować, żeby później nie żałować

W niedzielę 21 października od godziny 7 do 21 ponad 30 mln uprawnionych do głosowania Polaków ma szansę wybrać 1548 wójtów, 822 burmistrzów, 107 prezydentów miast i 39 256 radnych rad gminnych, powiatowych i wojewódzkich. To najbardziej skomplikowane spośród wyborów powszechnych, z największą liczbą kandydatów i kart do głosowania, dlatego dobrze jest się przygotować. Wielu kandydatów występuje pod dobrze brzmiącymi nazwami komitetów, które mają ukryć partyjną przynależność. Co zrobić, aby zagłosować na ten komitet i tego kandydata, którego naprawdę chcemy wybrać? Co zrobić, aby nie było tak jak w tej piosence Lady Pank: „Wolne wybory, chyba to znasz. Co cztery lata do urny gnasz. Aż ze zdziwienia mięknie ci dziób. Wrzucasz kartkę i wybierasz drób...”.

1 W zależności od miejsca zamieszkania każdy z wyborców otrzyma trzy lub cztery karty do głosowania. **Mieszkańcy gmin i miast niebędących miastami na prawach powiatu wybierają:** radę gminy lub miasta, radę powiatu, sejmik województwa oraz wójta lub burmistrza, lub prezydenta miasta. **Mieszkańcy miast na prawach powiatu wybierają:** radę miasta, prezydenta miasta oraz radnych do sejmiku wojewódzkiego. **Głosujący w stolicy dodatkowo wybierają radę dzielnicy.** Na karcie do głosowania, którą będzie całkiem spora plachta (a tylko tam, gdzie zarejestrowano więcej niż 20 komitetów wyborczych, książeczka), w lewym dolnym rogu znajdziemy instrukcje głosowania. Anna Godzwon, ekspertka prawa wyborczego, radzi zapamiętać: jedna karta, jeden kandydat, jeden znak „x”. Na jednej karcie będziemy mieli do wyboru kandydatów tylko do jednego szczebla samorządu i **na jednej karcie wybieramy tylko jedno nazwisko.**

2 PKW w losowaniu przydzieliła numery list od 1 do 10 dla tych komitetów wyborczych, które zarejestrowały kandydatów w co najmniej połowie okręgów w wyborach do wszystkich sejmików wojewódzkich. I tak np. PSL ma wszędzie numer 2, Koalicja Obywatelska PO i N – 4, SLD – 5, a PiS numer 10. Wszędzie tam, gdzie PiS czy Koalicja Obywatelska wystawiają kandydatów pod swoim szyldem (wszystkie sejmiki, rady miast, gmin, powiatów, dzielnic w stolicy), należy szukać właśnie ich numeru listy. Dalsze numery list od jedenastego wwyż komisarzy wyborczy przydzielali lokalnym komitetom. **W sumie w całej Polsce zarejestrowało się 9027 komitetów wyborczych, z czego partyjnych 21, koalicyjnych 2, organizacji 326 i aż 8678 komitetów wyborczych wyborców.** Do ustalenia zwycięzców tych



wyborów posłużą różne metody przeliczania głosów na mandaty. Najwięcej, bo aż 32 190 radnych, zostanie wybranych z wykorzystaniem metody większości względnej (w JOW). To radni gmin do 20 tys. mieszkańców. Pozostali radni gminni oraz radni powiatowi i wojewódzcy, a także radni w dzielnicach Warszawy zostaną wybrani z wykorzystaniem proporcjonalnej metody D'Hondta, tej samej, która ustala wyniki do Sejmu. Do wyliczenia, kto został wójtem, burmistrzem i prezydentem miasta, wykorzystuje się metodę większości bezwzględnej. W tym przypadku zwykle niezbędna jest druga tura wyborów.

3 Jak zauważa Anna Godzwon, w mniejszych gminach szylidy partyjne raczej kandydatom przeszkadzają, więc ich nie ujawniają. Na przykład w Obornikach Śląskich zarejestrowano komitet wyborców Anny Morawieckiej, a także Arkadiusza Poprawy. Oboje walczą o fotel burmistrza, ona jest siostrą premiera i od kilku lat jest w PiS, a on należy do PO. **Skąd mniej zorientowani wyborcy mają wiedzieć, że dany kandydat należy do partii?** Na karcie wyboru wójta, burmistrza czy prezydenta nazwiska wszystkich kandydatów będą ułożone alfabetycznie. Przy każdym będzie informacja, jaki komitet go zgłosił, ale – uwaga – będzie to skrót nazwy (do 45 znaków ze spacjami, np. dla PiS: KW Prawo i Sprawiedliwość, dla Koalicji Obywatelskiej: KKW Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska).

– *Jeśli kandydat startuje z komitetu własnego poparcia, to na samej karcie nie znajdziemy informacji o jego związkach z partią polityczną. Dlatego warto przed wejściem do lokalu wyborczego przeczytać dokładnie obwieszczenie terytorialnej komisji wyborczej, to na dużych plachtach, bo tam obowiązkowo przy każdym kandydacie jest informacja, z jakiej jest partii i która partia go wystawia – radzi Anna Godzwon.*

I tak na przykład na obwieszczeniach w stolicy można już dziś przeczytać, że Patryk Jaki jest członkiem Solidarnej Polski (choć w czasie debaty zrezygnował z członkostwa, ale obwieszczenia już były wydrukowane i rozwieszono), a na prezydenta zgłoszony jest przez Prawo i Sprawiedliwość.

4 Kandydaci na radnych nie mają obowiązku przyznawać się, do jakiej partii należą, ale mogli – jeśli chcieli – zażyczyć sobie takiego wpisu na obwieszczeniu wyborczym. Co zrobić, jeśli nie mamy pewności, czy i z jaką partią jest związany dany kandydat, a swój wybór motywujemy właśnie partyjną przynależnością? Trzeba polegać na własnej dociekliwości przed pójściem do lokalu wyborczego, a już **w czasie samego głosowania można dyskretnie zlustrować kandydatów, korzystając z wyszukiwarek internetowych we własnych telefonach komórkowych.** Czas na głosowanie mamy nieograniczony, ważne, by pamiętać, aby nie pokazywać innym tego, co wyświetlimy na ekranie, aby nie złać ciszy wyborczej.

5 Jeśli chodzi o ciszę wyborczą, to do PKW wpłynęło pytanie jednego z komitetów o to, czy członkowie komisji wyborczej mogą ubrać się tego dnia w koszulki z napisem „konstytucja” (tym charakterystycznym i znanym powszechnie z projektu Łukasza Rayskiego). – *Według PKW członkowie komisji nie powinni nosić tego dnia niczego, co demonstruje ich poglądy w sprawach społecznych i politycznych. Członkowie komisji mają zapewnić spokój i godność aktu wyborczego oraz przeprowadzić głosowanie sprawnie i bez niepotrzebnych sporów – mówi Krzysztof Lorentz, dyrektor Zespołu Kampanii Wyborczych w Krajowym Biurze Wyborczym.*

Dodaje, że przepisy Kodeksu wyborczego nie rozstrzygają oczywiście tak szczegółowych spraw, jak strój wyborców, i PKW nie zajmuje w tych sprawach stanowiska. Bardzo ryzykowne wydaje się też przyjęcie na wybory w takiej koszulce. Trzeba pamiętać o zakazie agitacji w lokalu wyborczym, a ta **koszulka może być uznana za demonstrowanie własnych poglądów politycznych.** Jeśli tego dnia w lokalu wyborczym, a także poza nim, ktoś na widok osoby ubranej w napis „konstytucja” stwierdzi, że złamana została cisza wyborcza, może zgłosić to na policję. Ostatecznie sprawę rozstrzygnie sąd, który – jeśli uzna, że doszło do wykroczenia – może nałożyć karę do 5 tys. zł grzywny. Starczy na kilkadziesiąt takich koszulek, które lepiej założyć po zamknięciu lokali wyborczych, w niedzielę o godz. 21.

ANNA DĄBROWSKA



Kto nie warczy, ten dostanie

Wybory samorządowe za pasem, warto więc przypomnieć, czym główne partie chcą zachęcić wyborców, aby oddali głos właśnie na ich kandydatów. I co z tego wynika dla polskiej polityki.

Proszę się nie obawiać, nie zamierzam zanudzać czytelników szczegółowym opisem wszelkich łask i dobrodziejstw, jakie spłyną na mieszkańców w wyniku określonego głosowania. Szukałem odpowiedzi na inne pytanie: czym samorząd kierowany przez polityków Koalicji Obywatelskiej, SLD czy PSL będzie w swych celach i metodach działania różnił się od samorządu zarządzanego przez działaczy PiS. Przygotowałem się na drobiazgowo porównywanie obietnic, uprzątnąłem biurko, sporządziłem odpowiednie tabelki, zaostrzyłem ołówek, wymieniłem wkład w długopisie i przystąpiłem do pracy.

Zacząłem od programów partii opozycyjnych. Każda z nich taki program uchwaliła i wywiesiła na swojej stronie internetowej. Począwszy od edukacji (darmowe obiady i bezpłatne przejazdy komunikacją lokalną, więcej zajęć pozalekcyjnych, dodatki do płac nauczycieli), przez wsparcie dla seniorów (centra pomocy, uniwersytety trzeciego wieku, bezpłatne badania, szybki dostęp do pielęgniarki i pracownika socjalnego), zdrowie (bezpłatne badania i szczepienia, dentysta w każdej szkole), ochrona środowiska (walka ze smogiem, wsparcie dla fotowoltaiki, więcej tras rowerowych) – po budowę mieszkań komunalnych, finansowanie in vitro i wiele innych przedsięwzięć. Nie mam złudzeń, że wszystkie te zamierzenia zostaną wykonane, ale mieszkańcy każdej gminy w Polsce mogą się tego właśnie domagać od wybranych do samorządu przedstawicieli tych partii.

Następnie rozpocząłem poszukiwania samorządowego programu Prawa i Sprawiedliwości. Chciałem sprawdzić, na czym – niezależnie od lokalnej specyfiki – koncentrowali się wszyscy (i wszędzie) samorządowcy z PiS. Co zrobią dla szkół, uczniów i nauczycieli, dla zdrowia, dla kultury, dla uboższych mieszkańców i osób niepełnosprawnych, dla ochrony środowiska, kultury fizycznej; mieszkania komunalne będą budować czy wyprzedawać? Itp.

Jakież było moje zdziwienie, gdy stwierdziłem, że program samorządowy PiS w ogóle nie istnieje! Odbiła się wprawdzie wielka konwencja samorządowa tej partii w Warszawie, przemówiło kilku kandydatów na prezydentów miast, premier Morawiecki przedstawił pięć kolejnych obietnic dla Polek i Polaków (choć realizacja poprzednich, jak prom pasażerski, samochód elektryczny czy dron „w każdym domu” – jest w ciemnym lesie) – i to wszystko. W pierwszej chwili myślałem, że czegoś nie dopatrzyłem. Rzuciłem się na stronę internetową PiS, przenicowałem wszystkie wypowiedzi – nie ma! Zniechęcony, zacząłem uprzątać biurko, kiedy wzrok mój spoczął na stronie gazety z przemówieniem prezesa antropofoba (antropofobia: lękowe wyobcowanie, izolacjonizm, lęk pustelnicy) i nagle doznałem iluminacji. Jakże mogłem to przeoczyć! Jak to nie ma programu – kiedy jest! Jak to brak – kiedy nie brak!

Program samorządowy PiS jest krótki, ale treściwy, i brzmi: „NIE WARCZEĆ!”. Jarosław Kaczyński podzielił bowiem samorządy na te, które „warczą na rząd”, i te, które do rządu się łaszą, a premier Morawiecki dał do zrozumienia, że tylko te drugie mogą liczyć

na finansowe wsparcie rządu (i chyba tym razem wyjątkowo nie kłamał). Katalog „warknięć” jest rozległy i obejmuje takie zachowania, jak: zapraszanie na lokalny festiwal Adama Darskiego Nergala, wystawianie w miejscowym teatrze „Kłatwy”, projekcja w kinie samorządowym filmu „Kler”, finansowanie procedury in vitro, rzetelne wdrażanie konwencji antyprzemocowej, uroczyste oddanie do użytku nowej drogi bez księdza, czyli bez poświęcenia asfaltu, niewyrażanie zgody na faszystowskie marsze, a wyrażanie na marsze równości (prezydent Żuk nic chyba jednak od rządu nie dostanie), obrona – wbrew rządowemu kuratorowi – nauczyciela informującego uczniów, że przywódcą Solidarności był Lech Wałęsa, a nie Lech Kaczyński, i że niektórzy żołnierze wyklęci popełniali zbrodnie na ludności cywilnej itp. Groźnym „warknięciem” jest także niechęć do upamiętniania postaci zmarłego prezydenta przez stawianie pomników czy nadawanie jego imienia ulicom i wszelakim instytucjom samorządowym.

Jednak najbardziej nieprzyzwoitym zachowaniem, już nie warknięciem, a szczerzeniem kłów, jest powierzenie władzy w gminie czy sejmiku politykom opozycji. Za tak prowokacyjne, niemal przestępcze, postępowanie obywatele danej gminy mogą zostać przykładowo ukarani. Zapowiedział to Patryk Dubaj Jaki na specjalnej konferencji prasowej, cytując: „min. Jerzy Kwieciński zapewnił: jak wygram wybory, będą środki na budowę 3. i 4. linii metra”. Czyli jak przegram – rząd pieniędzy na metro nie da! Pod tę narrację podłączył się natychmiast nowy nabytek PiS Piotr Guział, który bez ogródek stwierdził, że dla Trzaskowskiego pieniędzy nie będzie.

Kwieciński wszakże oświadczył, że będzie współpracował z każdym prezydentem. A poza tym – to strachy na Lachy, bo takimi pieniędzmi, co to pan Jaki chce wydać, rząd długo jeszcze nie będzie dysponował! W efekcie Jaki i Guział wyszli na marnych oszustów i szantażystów. Sam fakt, że Jaki uznał, że warszawiaków można kupić na tak prymitywny trik, kompletnie go dyskwalifikuje. Nie zamierzam głosować na pana Jakiego, ale gdybym przypadkiem się nad takim wyborem zastanawiał (w końcu przekształcenie Warszawy jednocześnie w Dubaj i Sofię to idea nader atrakcyjna) – to po tej deklaracji honor warszawiaka nigdy by mi na to nie pozwolił. O takich „uzdrowicielach” stolicy już pół wieku temu śpiewał bard Warszawy S. Grzesiuk: „Więc znakiem tego, nie bądź lebiegą. Przyhamuj buzię i nie gadaj więcej nic”.

Pół miliarda dla Czartoryskich, pół miliarda na kolejkę linową – lekką ręką do wydatków ma ten rząd. Z tym że ta „nieznośna lekkość” jakoś nie dotyczy nauczycieli, pielęgniarek, pracowników socjalnych czy niepełnosprawnych. Ale co poradzić? Zapragnął prezes dostać kolejkę pod choinkę, to mu ją premier kupił. Bo to dobry człowiek jest.

Debatę kandydatów na prezydenta stolicy wygrał Korwin-Mikke. Zapowiedział rozkręcanie (!) torów. Głosy złomiarzy już ma.

KOMENTARZ

Prezydent, co się prawu nie kłania

Ewa Siedlecka



Prezzydent Andrzej Duda po raz kolejny złamał konstytucję: zignorował prawomocne postanowienie Naczelnego Sądu Administracyjnego zawieszające obsadzanie wakatów w Sądzie Najwyższym i powołał na nie 27 osób.

Minister prezydenta Paweł Mucha oświadczył, że Andrzeja Dudy nie obowiązuje postanowienie sądu, bo „nie jest stroną żadnego postępowania, które toczyło się przed Naczelnym Sądem Administracyjnym”. To tak, jakby np. dyrektor więzienia odmówił przyjęcia więźnia do zakładu karnego, bo nie był stroną w jego procesie karnym. W Polsce PiS można już powiedzieć dowolną głupotą na temat prawa, bo ludziom wmówiono, że prawa nie ma, są tylko jego interpretacje. A bezwstyd w wymyślaniu interpretacji nie ma granic.

Prezydentowi uszkadzała się już kolekcja naruszeń konstytucji. Odmowa zaprzysiężenia sędziów wybranych legalnie do Trybunału Konstytucyjnego, zaprzysiężenie ich dublerów, powołanie prezesa i wiceprezesa TK wybranych na podstawie prawa, które nie weszło jeszcze w życie, w dodatku bez wniosku Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK. Ogłoszenie konkursów do SN bez kontrasygnaty premiera, ignorowanie prawomocnych orzeczeń NSA, a wcześniej SN, który zawiesił przepisy o przejściu sędziów w stan spoczynku. Jest też zapowiedź zignorowania orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości UE, jeśli nie będzie panu prezydentowi odpowiadało. Mamy dumnego prezydenta, co się prawu nie kłania.

Nie kłania się mu też tych 27 osób, które połamali się na apasze w Sądzie Najwyższym. Nie interesuje ich, że wywołują chaos prawny, kiedy zaczną orzekać. Kasa i zaszczyt (w tym wypadku wątpliwy) są ważniejsze. Wiedzą, że jak ich następną władzą zechce

usunąć – nie będą stratni: dostaną tłusty stan spoczynku. Dzięki „dobrej zmianie” mamy w wymiarze sprawiedliwości ludzi – bo nie sędziów – o takim morale. Do Sądu Najwyższego wchodzili, „drogą hańby”: w szpalerze Obywateli RP, którzy od blisko pół roku stoją tam codziennie w obronie prawa i praworządności. Przynajmniej tyle wstydu. Zobaczymy, czy prezydent znajdzie wśród nich kandydata na tymczasowego komisarza. Brak tego komisarza uniemożliwia od kilku miesięcy wybór uzurpatora na miejsce Pierwszej Prezes Małgorzaty Gersdorf.

A prawdziwi sędziowie, mimo szykan ze strony partii rządzącej, bronią praworządności, przyjmując uchwały i stanowiska potępiające łamanie prawa przez głowę państwa. „Żaden obywatel nie może czuć się bezpiecznie w Państwie, w którym jeden z jego najważniejszych urzędników publicznie lekceważy zarówno prawo, jak i orzeczenia sądów” – piszą sędziowie ze Stowarzyszenia Themis. Sędziowie Apelacji Krakowskiej przyjęli uchwały m.in. w sprawie bezprawności działań prezydenta Dudy i ciała powołanego w miejsce Krajowej Rady Sądownictwa. „Działania Prezydenta, podejmowane wbrew Konstytucji, destabilizuje sytuację prawną i obniża zaufanie do sądów oraz wydawanych przez nie orzeczeń. (...) czyni realnym problem odpowiedzialności Prezydenta przed Trybunałem Stanu” – napisali. Potępiają też szykanę wobec sędziów: przesłuchiwanie ich w KRS w charakterze „świadków”, z zamiarem postawienia im zarzutów dyscyplinarnych za kierowanie pytań prawnych do Trybunału Sprawiedliwości i działalność w stowarzyszeniach sędziowskich. Do tego ponad stu krakowskich sędziów wzywaniem na przesłuchania szykanuje tamtejsza prokuratura.

15 proc. sędziów ankietowanych przez Stowarzyszenie Iustitia doznało ostatnio bezpośrednich nacisków politycznych. Czegoś podobnego nie było dotąd w III RP. Wygląda na to, że funkcjonariusze władzy notorycznie popełniają przestępstwo z art. 232 kk: wywierania groźbą wpływu na czynności sądu.

Naciski stosowano też wobec sędziów, którzy odpowiadają na coraz liczniejsze pytania unijnych sądów w sprawie ich niezawisłości, przy okazji europejskiego nakazu aresztowania. Sędziowie odpowiadają godnie: jesteśmy niezawisli, mimo że władza stworzyła system łamania tej niezawisłości.

„Nie ma na co czekać, trzeba reformować wymiar sprawiedliwości” – mówił minister Mucha. Pewnie: mimo wysiłków władzy są jeszcze sędziowie w Rzeczpospolitej.

Kelner pod parasolem policji

Jeden z organizatorów podsłuchów, kelner z restauracji Sowa i Przyjaciele Łukasz N., nadal korzysta z ochrony policji, konkretnie funkcjonariuszy elitarnego Centralnego Biura Śledczego Policji. I to mimo że od prawie roku jest osobą prawomocnie skazaną w tzw. aferze podsłuchowej. Policja nie chce wyjaśnić przyczyn takiej sytuacji. Prawdopodobnie to właśnie na wniosek CBŚP przydzielono mu ochronę.

Wiadomo tyle, że Łukasz N. ma status „osoby zagrożonej”. Czy czegoś się obawia? Jeśli tak, to czego? Ktoś mu groził? Te pytania CBŚP pozostawia bez odpowiedzi. „W przypadku realizacji programu ochrony wobec osoby zagrożonej odbywa się ona w ramach prowadzonych przez Policję czynności operacyjno-rozpoznawczych o charakterze niejawnym, na podstawie niejawnych przepisów i nie jest możliwe udzielenie jakichkolwiek informacji na ten temat, w szczególności dotyczy to ewentualnych przesłanek objęcia lub nie ochroną” – napisała w mailu rzeczniczka CBŚP kom. Iwona Jurkiewicz.

Łukasz N. został najłagodniej potraktowany przez sądy obu instancji spośród czwórki skazanych w aferze podsłuchowej. Za to, że współpracował z policją i opowiedział o całym procederze oraz jego uczestnikach, na wniosek prokuratury sądy zastosowały wobec niego nadzwyczajne złagodzenie kary. Jako jedyny nie został skazany

na więzienie nawet w zawieszaniu, miał zwrócić prawie 100 tys. zł, które dostał za nagrywanie polityków od Marka Falenty, oraz zapłacić dodatkowo 50 tys. zł (według „Rzeczpospolitej” do dziś z tej kwoty uregulował jedynie niewielką część – 9 tys. zł).

– *To sytuacja skandaliczna i wyjątkowa w historii wymiaru sprawiedliwości, gdy ofiary są piętnowane, a sprawcy de facto nie ponieśli odpowiedzialności: nie zapłacili grzywny i jeszcze korzystają z ochrony policyjnej* – irytuje się Paweł Wojtunik, były szef CBA, który wcześniej kierował CBŚP, a w sprawie jako jeden z podsłuchanych miał status pokrzywdzonego. – *Moim zdaniem ochrona kelnera to nie wymysł CBŚP, które jest powołane do innych celów. To działanie na polecenie prokuratury bądź MSWiA. Niezależnie zresztą na czyje, ma podtekst polityczny i jest demoralizujące, bo może zachęcać inne grupy przestępcze oraz wywiady obcych państw do stosowania podobnych praktyk w przyszłości.*

Zaskoczony jest również poseł Marek Biernacki, były minister sprawiedliwości i były koordynator do spraw służb specjalnych. – *Niezrozumiałe jest ustanowienie ochrony osobie, która nie była świadkiem koronnym, już po prawomocnym rozstrzygnięciu sprawy przez sąd. Ciągłe mamy potwierdzenie, że afera podsłuchowa ma swoje drugie dno. Bo kogo może się dziś obawiać Łukasz N.? Przecież nie polityków. Ludzi, których podsłuchiwał, a o których nie wiemy? Rosjan?*

(GR)

Otaśmach Falenty piszemy na s. 18

KOMENTARZ



Odliczanie

Adam Krzemiński

Zdobyte 37,2 proc. głosów dla bawarskiej CSU to najgorszy od 60 lat wynik partii, która świetnie administruje, bo Bawaria jest najzamożniejszym niemieckim landem z najniższym bezrobociem. Ale jej szef się przeliczył. Ataki Horsta Seehofera – w Berlinie jest ministrem spraw wewnętrznych – na politykę własnego rządu w sprawie uchodźców miały przyciągnąć zwolenników Alternatywy dla Niemiec (AfD). Stało się odwrotnie: ok. 200 tys. tradycyjnych wyborców CSU głosowało na AfD (zebrała 10,3 proc.). A zniesmaczeni nacjonalizmem skrajnej prawicy przeszli do triumfujących teraz Zielonych (17,6 proc.) i Niezależnych (11,8 proc.). Drugim wielkim przegranym tych wyborów jest SPD (9,7 proc.), która nigdy w Bawarii nie była zbyt silna, jednak tracąc ponad połowę wyborców, staje się jeszcze słabszym partnerem i tak już niewielkiej „wielkiej koalicji” w Berlinie. Dobra wiadomość tych wyborów to właśnie zaskakująco korzystny

wynik Zielonych i Niezależnych oraz słabszy, niż się obawiano, Alternatywnych. Sobotnia demonstracja w Berlinie przeciwko skrajnej prawicy – w której uczestniczyło niemal ćwierć miliona ludzi! – także potwierdziła mobilizację sił centrowych w Niemczech.

Wybory w Bawarii zdyskredytowały obecne kierownictwo CSU, także nowego, młodego i mało okrzęszonego premiera landu Markusa Södera. Osłabiły też Angelę Merkel. Pani kanclerz wprawdzie już zapowiedziała, że na grudniowym zjeździe CDU będzie ponownie kandydowała na stanowisko szefa partii. Jednak po raz pierwszy spotyka się z – jeszcze mało wyraźną – opozycją we własnej partii. Jeśli jednak za dwa tygodnie wybory w Hesji skończą się dla CDU takim samym tąpnięciem jak teraz dla CSU, możliwe, że ktoś na zjeździe powie: „Angela, teraz moja kolej na przywództwo”.

Republika Federalna to ociężały tankowiec. Na zmianę kursu potrzebuje wiele czasu. Nawet przegrana w Hesji i na zjeździe CDU nie musi oznaczać natychmiastowego końca kanclerstwa Merkel. Zachwiałyby nim dopiero zerwanie koalicji przez spanikowanych fatalnymi wynikami socjaldemokratów. Ale i wtedy mogłoby jeszcze dojść do próby reaktywowania „jamajki” – koalicji chadeków z Zielonymi i liberałami z FDP. Wszystko to jednak na długo osłabiłoby rząd federalny i rolę Niemiec w Europie.

Smutna jest ta czwarta kadencja Merkel. Odliczanie trwa już rok i jeszcze potrwa...



© EAST NEWS (2)

Selektywna eliminacja

Gdzie jest **Dżamal Haszoggi**? Saudyjski dysydent i dziennikarz przepadł w konsulacie Arabii Saudyjskiej w Stambule. 2 października wszedł tam, by załatwić sprawy urzędowe, nie odnalazł się do połowy miesiąca. Według władz Arabii opuścił placówkę tylnym wyjściem. Z kolei władze tureckie, mogące – co sugerują niektóre gazety – dysponować nagraniem z konsulatu, twierdzą, że padł ofiarą operacji wywiadu saudyjskiego. Wskazują na piętnastkę agentów, która przyleciała do Stambułu z Rijadu, by Haszoggiego zabić. Dziennikarz naraził się krytyką domu Saudów, w tym starego króla, młodego następcy tronu i ich interwencji w Jemenie.

Eufemistycznie takie zabójstwa nazywają się selektywną eliminacją (od ang. *targeted killing*). Ostatnio selektywnie eliminowała Korea Płn., zeszedł zimy na lotnisku w Malezji zgładzono brata

północnokoreańskiego przywódcy. Przeżył, po wiosennej próbie otrucia przez oficerów z Moskwy, Siergiej Skripal, były pracownik rosyjskiego wywiadu, zwerbowany przez Brytyjczyków. Oprócz Rosji, chętnie stosującej tę metodę, nadal na swoich wrogów, np. irańskich fizyków, poluje tak Izrael, a od zamachów z 11 września podobnie wygląda front amerykańskiej wojny z terroryzmem. Różne mogą być cele, motywy, sposoby czy miejsca ataków, ale zleńciodawcy z reguły pozostają bezkarni, schowani za gardą prawa międzynarodowego. Choć zdarzają się wyjątki, gdy w efekcie cena operacji podważa jej prewencyjny sens. Skripala i użycie broni chemicznej na terytorium brytyjskim Zachód dopisał do rosyjskich przewin w Donbasie, Krymie i w Syrii. I jeśli otrucie miało zniechęcić potencjalnych naśladowców do zdrady Rosji, to wyszło dość drogo, oprócz m.in. amerykańskich sankcji (Europejczycy nad swoimi pracującą) doszło do blamażu rosyjskiego wywiadu wojskowego.

Natomiast zaginięcie Haszoggiego, współpracownika m.in. „Washington Post”, postawiło w fatalnym świetle księcia Mohammeda ibn Salmana, faktycznie rządzącego Arabią Saudyjską, będącą najbliższym sojusznikiem w świecie arabskim Ameryki. Prezydent Donald Trump zapowiada jakieś bliżej nieokreślone kary, jeśli okaże się, że Saudowie zlecili zabójstwo reportera. Ciężki podejrzenie wystarczył, by amerykański biznes i media dość zgodnie zbojkotowały ważną dla księcia konferencję inwestorów w Rijadzie, zwaną pustynnym Davos. Reaguje też rządzka giełda. Podczas sesji 13 i 14 października straciła 7 proc. wartości, w sumie 50 mld dol.

Historia z kobietą

Polóżmy kres dominacji mężczyzn w historii – zaapelowała grupa historyków francuskich zebranych na dorocznej konferencji w **Blois** nad Loarą. Zwrócono uwagę, że chociaż w naukach humanistycznych prawie połowa pracowników naukowych z tytułem doktora to kobiety, to już wśród profesorów jest ich tylko jedna czwarta i tytuł profesorski zdobywają w późniejszym wieku niż mężczyźni, w dodatku z niższym uposażeniem. Apel podpisało ponad 500 historyków z całego kraju. Postuluje on liczniejszą obecność kobiet w świecie akademickim, w rozmaitych komisjach finansujących badania, w wydawnictwach i w jury konkursów historycznych.

Autorzy apelu zdają sobie sprawę, że macierzyństwo i opieka nad dziećmi skracają czas poświęcony karierze naukowej, toteż domagają się wyższych stypendiów naukowych dla kobiet. Apelują także, by mężczyźni przyjmowali zaproszenia tylko do takich programów telewizyjnych i radiowych, które dbają o równe proporcje kobiet i mężczyzn. Środowisko historyczne chce najwyraźniej dorównać francuskiej polityce na szczeblu departamentów, gdzie system wyborczy od 2013 r. wymusza równe proporcje płci we władzach samorządowych.





© APPEAST NEWS

Katalonia nie chce króla

Regionalny parlament kataloński uchwalił rezolucję potępiającą króla Hiszpanii Filipa VI i wzywającą do zniesienia monarchii jako instytucji przestarzałej i niedemokratycznej. Wniosek zgłosiła koalicja republikańskiej lewicy, którą poparły w głosowaniu dwie główne partie niepodległościowe. Króla skrytykowano za zesłoroczne wystąpienie, w którym zdaniem katalońskich deputowanych nie zachował bezstronności w sprawie zorganizowanego przez autonomiczne władze referendum niepodległościowego. Większość głosujących opowiedziała się wtedy za niezależnością. Władze centralne w odpowiedzi zawiesiły autonomię, aresztowano pod zarzutami podżegania do buntu dziesięć działaczy separatystycznych, a czworo innych, w tym Carles Puigdemont, były szef autonomii, zdecydowało się na emigrację polityczną.

Sytuacja w Katalonii jest dziś nadal napięta, choć Hiszpania rządzi obecnie

sojaliści premiera Pedro Sanchez. Aresztowani działacze katalońscy po zmianie rządu centralnego nie zostali zwolnieni. Grozi im kara minimum piętnastu lat więzienia. Madryt odrzucił wnioski obrony o wypuszczenie ich na wolność za kaucją. Kraj jest głęboko podzielony. Dzień po rezolucji w Barcelonie kilkadziesiąt tysięcy ludzi manifestowało pod flagami hiszpańskimi za Unią. Dołączyła do nich skrajna prawica domagająca się zniesienia autonomii. Tymczasem dążenie do pokojowego rozvodu Katalonii z Hiszpanią ma nadal duże poparcie. Wielu Katalończyków demonstruje na rzecz uwolnienia aresztowanych niepodległościowców, których uważają za więźniów politycznych. W miniony weekend 16 tys. osób wspięło się w żółtych koszulkach na 18 szczytów górskich na znak solidarności z uwięzionymi.

Podczas spotkania z Puigdemontem żółtą wstążkę przypięła szefowa autonomicznego rządu szkockiego Nicola Sturgeon, która popiera ideę ponownego referendum w sprawie niepodległości Szkocji.

Most z Chin

Ruszyły prace przy budowie dwukilometrowego mostu Pelješac, który połączy Chorwację. Bo – o czym można się przekonać, jadąc wzdłuż Adriatyku do Dubrownika – Chorwacja w pewnym momencie się kończy i dopuszcza do morza Bośnię i Hercegowinę, aby powrócić po kilkunastu kilometrach, po drugiej stronie zatoki. Te kilometry to również wyrwa w Unii Europejskiej, do której BiH nie należy, co dla turystów oznacza czasem godziny stania na granicach. A dla Chorwatów – wyrwę w duszy narodu. Zagrzeb rozpoczął budowę w 2009 r., aby

po trzech latach przerwać ją z braku funduszy. Aż przyszła UE i w zeszłym roku dała na most 357 mln euro – 85 proc. szacowanych kosztów. Przetarg na budowę wygrała China Road and Bridge Corporation. Jest

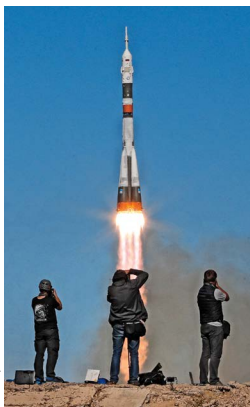


więc to pierwszy przypadek w historii, że chińska firma będzie realizować projekt finansowany głównie z unijnych pieniędzy. Chińczycy chcieli o 100 mln euro mniej niż najtańszy konkurent, który natychmiast odwołał się, twierdząc, że za taką sumę nie można zbudować mostu. Komisja Europejska obawia się, że Chińczycy chcą zniszczyć europejską konkurencję, zaniżając koszty i zatrudniając „za miskę ryżu” chińskich robotników. Ci są już na miejscu i mieszkają na pokładzie statku wycieczkowego.

© LM

Sojuz nie doleciał

Po 119 sekundach od startu rosyjskiego **Sojuz**a z dwuosobową załogą nastąpiła awaria silników pomocniczych, na szczęście zadziałał system ratunkowy. I po 34 minutach Nick Hague i Aleksiej Owczinin bezpiecznie znaleźli się na Ziemi. Ale z drugiej strony to poważny kryzys w międzyorbitalnych stosunkach amerykańsko-rosyjskich i duży kłopot praktyczny. Te stosunki, siłą rozpędu, układały się dotąd niezłe. Choć w sierpniu zdarzył się dziwny incydent. Przycumowany do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) statek Sojuz Ms-09 został rozhermetyzowany; odkryto mały otwór, który zdaniem Moskwy mógł zostać zrobiony z premedytacją, a rosyjskie media społeczniowe spekulowały, że to amerykański sabotaż (w jakim celu?). Tym przycumowanym Sojuzem miała w grudniu wrócić trzyosobowa załoga stacji. Jednak zmiennicy nie dolecieli. Załoga mogłaby zostać dłużej, ale jest już na ISS od czerwca, a statek ma 7-miesięczny „okres przydatności”. A Sojuzy, których starty zawieszono aż do ustalenia przyczyn awarii, są dziś jedynym środkiem transportu. Amerykanie



© PAPIEPA

pracują nad dwoma swoimi statkami kosmicznymi Dragon-2 firmy SpaceX i Starlinerem od Boeinga, ale najwcześniej będą gotowe w przyszłym roku. Czy zatem, po 18 latach, ISS zostanie bez załogi? Stacją można zdalnie zarządzać z Ziemi, ale gdyby zdarzył się niefortunny ciąg awarii, mogłaby ulec zagładzie.

Sojuzy miały opinię przestarzałych, ale bezpiecznych: na blisko tysiąc startów rozmaitych wersji rakiety od lat 60. zawiodła tylko 3 razy. Ale nie mają gotowych następców. Również ambitny plan budowy nowego kosmodromu Wostocznyj, aby uniezależnić się od kazachskiego Bajkonuru, mocno kuleje. Roskosmos, na czele którego we wrześniu stanął wicepremier Dmirtij Rogozin, znalazł się w kryzysie, finanse ma obcinane, bo są pilniejsze potrzeby, a i tak to 9 proc. rocznego budżetu siostrzanej NASA, która też ma nowego zarządcę, Jima Bridenstine'a. Z okazji startu obaj mieli rozmawiać o przyszłej współpracy. Amerykanie chcieliby powołać wycofywać się z ISS i marzy im się stacja Lunar Gateway na orbicie Księżyca. Czy Rosjanie w to wejdą? Na boku przebąkują o możliwej zmianie gwiezdnych sojuszy, o porzuceniu Ameryki i o współpracy w Chinami, które mają ambicje i środki – oraz coraz poważniejsze osiągnięcia.

Napoczęty czteropak



Zbliżające się wybory samorządowe rozpoczynają cykl czterech elekcji, które ustalą polską politykę na lata. Te najbliższe powinny udzielić odpowiedzi na dwa kluczowe pytania. O kierunek dalszej ewolucji „dobrej zmiany”, a także o właściwy format opozycji przed decydującym starciem w przyszłym roku.

Kalendarz polityczny wyjątkowo sprzyja „dobrej zmianie”. Podał PiS aż trzy lata bez wyborów. To szmat czasu, który rządzący wykorzystali na konsekwentną realizację radykalnego projektu władzy. Bez obaw o to, że weryfikacja wyborcza pomiesza im szyki i zakłóci plan działania.

Czas jest w polityce parametrem kluczowym. Z dzisiejszej perspektywy wielu działaniom PiS z początku kadencji zdążyły już rozmyć się kontury. Gdyby Kaczyński musiał kalkulować w tamtym czasie rychłe wybory, pewnie atak na Trybunał Konstytucyjny byłby łagodniejszy bądź rozwleczony w czasie.

Podobnie z przejmowaniem KRS i Sądu Najwyższego. Pierwsza faza operacji doprowadziła w ubiegłym roku do społecznego wstrząsu. Dobiegający teraz końca pelzający proces przejmowania instytucji sądowniczych nie wywołuje już większych emocji. Gwałt na trzeciej władzy uszedł więc PiS na sucho. Z tego punktu widzenia wybory samorządowe przychodzą o rok za późno.

Etap instalowania „dobrej zmiany” dobiega więc końca. Teraz czeka nas rozpisania na dwa lata okres wyborczy. Co oznacza, że poza tryb kampanii nie uda się wyjść ani na moment. Nie rokuje to najlepiej w czasie eskalacji konfliktu o globalną dominację, wojen handlowych, przepowiadanej wielkiej recesji, dalszego pęknięcia Unii Europejskiej. Jeśli polskiej polityce brakuje ostatnio realizmu, to teraz deficyt jeszcze bardziej da się we znaki.

W tym roku po raz pierwszy w takim stopniu wybory lokalne zostały wpisane w logikę wielkiej polityki. Jako sekwencyjny element szerszego procesu. Co oczywiście wynika z radykalizmu „dobrej zmiany”, która nie pozostawia wielkiego marginesu na negocjowanie drobnych kompromisów.

Samorządność – czyli obszar polityki pragmatycznej, stroniącej od ideologii, stosunkowo niepodatnej na propagandowe perswazje – stała się więc w tej kampanii zakładnikiem centralnego konfliktu. Przynajmniej na szczeblach pozostających w polu widzenia ogólnokrajowej opinii publicznej. Tematyka lokalna przeważnie więc służyła obu rywalizującym obozom co najwyżej za tworzywo w wielkich polaryzujących narracjach.

Nie brakowało w wielkich miastach kandydatów znanych z ogólnopolskiej bądź europejskiej polityki (m.in. Rafał Trzaskowski, Jarosław Wałęsa i Sławomir Nitras z PO; Patryk Jaki i Małgorzata Wassermann z PiS). Porównywalny abordaż krajowych polityków na pokłady lokalne miał dotąd miejsce tylko w 2002 r., kiedy odbywające się po raz pierwszy bezpośrednio wybory w miastach stanowiły atrakcyjną nowinkę. Gwiazdy wielkiej polityki dostały jednak baty od lokalnych liderów, co nie zachęcało do kolejnych prób. Aż do teraz.

O ile odkryciem poprzednich wyborów samorządowych były ruchy miejskie, o tyle w tym roku przeważnie już tylko statystowały. Nie kreując nowych emblematycznych postaci i tracąc do tychczasowe. Bo prezydent Poznania Jacek Jaśkiewicz po kadencji rządów siłą rzeczy oddalił się od środowisk społecznikowskich. Kandydujący w Warszawie Jan Śpiewak przeobraził się z przebojowego aktywisty w awanturniczego polityka. Wreszcie Robert Biedroń opuścił Słupsk, aby budować własny obóz polityczny.

Główne partie zaangażowały w kampanię spore środki. Ale gwiazdami regularnie organizowanych konwencji byli Grzegorz Schetyna i Jarosław Kaczyński. Kandydatom lokalnym przypadła rola wypełniacza kadru.

Osobnego omówienia wymaga jednak zaangażowanie Mateusza Morawieckiego. Szef polskiego rządu przez wiele tygodni służył niemal wyłącznie interesom swej partii. Choć akurat gdyby

odbywał swoje peregrynacje po kraju wyłącznie w roli lidera Zjednoczonej Prawicy, nie byłoby to aż takim problemem. Niestety, Morawiecki przede wszystkim reprezentował w kampanii swój urząd. A jego deklaracje stanowiły brutalną ingerencję w niezależność samorządnych ciał. Zaczęło się od niewinnej „synergii”, rzekomo pożądanego w relacjach samorządów z centrum. Potem quasi-korupcyjna oferta stopniowo się konkretyzowała: wybieracie u siebie naszego, a będzie wam się lepiej powodziło.

Stosunek krajowych elit do samorządu zawsze podszyty był hipokryzją. Publicznie składano im hołdy, ale po cichu ograniczano swobodę. Swą beczelną ofertą PiS przebił jednak dno.

A może partia rządząca przy okazji niechcący zasugerowała dalszy kierunek „dobrej zmiany”? Niszczenie trójpodziału władzy w ostatnich latach prowokowało bitewny zgiełk, w którym nieco zacierała się szersza perspektywa. Pisowski klientelizm i kolonizację państwa brano za odrębną monetę, kojarząc z tradycyjną zachłannością naszej klasy politycznej. W końcu to samo, choć na mniejszą skalę i nie tak bezwstydnie, robiły wcześniej „republiki koleśków” w wydaniu AWS, SLD, PSL, PO. Taki obraz pomija jednak ideologiczno-systemowy charakter procederu.

A do tego budżetowa hojność PiS czasem wywołuje pokusę relatywizacji („skoro tyle ludziom rozdali, to niech już sobie uszczkną coś dla siebie”). Tymczasem, jak wiele wskazuje, pomiędzy brutalną kolonizacją państwa a niszczeniem instytucji demokracji liberalnej oraz polityką redystrybucji budżetowej zachodzi ścisły związek. Wszystkie te działania mają przecież wspólny mianownik: tworzą system uzależnień od partii rządzącej. Kolejno uzależniane są aparat państwowy i publiczny sektor w gospodarce, prawo oraz szerokie grupy społeczeństwa. Na razie jednak z tego wszystkiego nie układa się spójny wzór systemowy. Można odnieść wrażenie, że to wątki odrębne. Ale przecież mamy za sobą dopiero pierwszy akt dramatu. W kolejnym powinny zacząć się ze sobą splecać.

Liderzy PiS nigdy nie ukrywali, że bliski im jest zapożyczony ze słownika Viktora Orbána postulat budowy „narodowej klasy średniej”. Temu miała służyć polityka oparta z jednej strony na patriotycznym wychowaniu, z drugiej na transferach socjalnych. Z prawdziwą klasą średnią, poszukującą zwykle indywidualnych źródeł zaspokajania aspiracji życiowych, jej narodowa krewna z Węgier nie ma jednak wiele wspólnego. Jak pisał autor demaskatorskiej „Anatomii państwa mafijnego” Balint Magyar, bliższa jest warstwom drobnej szlachty w państwie feudalnym.

W zamian za posłuszeństwo i lojalność uzyskuje dostęp do publicznych stanowisk bądź koncesje na prowadzenie samodzielnej działalności gospodarczej w ramach odgórnie regulowanego systemu. Z kolei nieposłusznych wcześniej czy później czeka wywłaszczenie i obywatelska banicja. W specyficznych warunkach poddaństwa dokonuje się psychologiczne utożsamienie z oligarchicznym systemem, który w głowach ludzi staje się z czasem bezalternatywny.

Takiego systemu nie da się jednak zbudować z autonomicznymi podmiotami. Orbán kolejno dusił wszystkie niezależne sfery: media, organizacje pozarządowe, prywatne media, z czasem również prywatny biznes. Z samorządem też rozprawił się etapami. Gminom odebrał wiele kompetencji i tak ograniczył zasilanie finansowe, aby z lokalnych budżetów można było realizować wyłącznie ściśle zdefiniowane zadania. Samorządy wojewódzkie stały się pustą dekoracją, gdyż ich rolę przejęły nowo utworzone, niby to odwołujące się do węgierskiej tradycji, urzędy ziemskie. Z kolei służba zdrowia i szkolnictwo przeszły pod opiekę specjalnie utworzonych rządowych urzędów powiatowych. Powstał oligarchiczny system, w którym organy Fideszu na wszystkich szczeblach kontrolują wszelkie przejawy zbiorowej aktywności.

Tak wygląda węgierska „normalna patologia”, którą prof. Radosław Markowski przeciwstawia obecnej polskiej „patologicznej ▶

► normalności”. Co oznacza, że nie zgubiliśmy jeszcze drogi powrotu. W obecnych realiach najważniejsza więc staje się obrona przed PiS sejmików wojewódzkich oraz urzędów marszałkowskich, które stanowią kluczowe ogniwo w mechanizmie rozdzielania pieniędzy z funduszy unijnych. Dopóki PiS nie zapanuje nad tymi strumieniami, jego możliwości inwestowania w polską „narodową klasę średnią” będą ograniczone.

Niestety, utrzymanie po wyborach większości województw w rękach opozycji samo w sobie nie daje jeszcze całkowitej pewności. PiS może przecież, również wzorem starszego bratanka z Budapesztu, odebrać marszałkom kompetencje i przekazać je wojewodom. Tyle że taką operację mimo wszystko trudniej byłoby przeprowadzić po utrzymaniu sejmików przez opozycję. Byłby to akt politycznej brutalności. A tu kolejne wybory za pasem.

W tych wyborach rozstrzygnie się również przyszły kształt strony antypisowskiej. Będą one testem przywództwa Grzegorza Schetny. Do tej pory bilans jest niejednoznaczny. Schetyna zapewnił sobie żelazne panowanie nad Platformą. Przeczekał krytyczny moment, kiedy zdawało się, że opozycyjne partie będą co najwyżej dodatkiem do prężnych ruchów obywatelskich. Wreszcie bezwzględnie wykorzystał instytucjonalne zasoby swej partii w rywalizacji z innymi ugrupowaniami. I dopiero praktycznie już zwasalizowaną Nowoczesną uczynił koalicyjnym współnikiem.

Koalicja Obywatelska bardziej jednak pozoruje poszerzenie formuły, zasadniczo pozostając bytem monochromatycznym. Wejście Barbary Nowackiej, choć było sukcesem Schetny, aż tak wiele tu nie zmieniło. Na szersze otwarcie nie było raczej szans. PSL musiał się ponownie zalegalizować w konserwatywnym większym elektoracie po dwóch kadencjach wspólnych rządów z PO. Młoda lewica wciąż nie może się zdecydować, czy Platforma jest jej wrogiem, czy też sojusznikiem. A stara eseldowska to mimo wszystko potencjalne wizerunkowe obciążenie.

Względne sukcesy w układzie wewnętrznym opozycji nie szły jednak w parze z nadrabianiem dystansu do PiS. Koalicja Obywatelska w obecnym kształcie nie jest równorzędnym przeciwnikiem obozu rządzącego. We frontalnym starciu poniosłaby klęskę. Tyle że testem będą dla Schetny wybory, w których zazwyczaj trudno jest jednoznacznie wskazać zwycięzcę. I towarzyszą im jeszcze dwa specyficzne czynniki sprzyjające Platformie.

Po pierwsze, wynik PSL w wyborach do sejmików. Jak wiele wskazuje, znacznie wyższy od normalnego potencjału ludowców. Ta osobliwość regularnie powraca co cztery lata. Wybory samorządowe aktywizują część unikatowego elektoratu, który w innych elekcjach nie uczestniczy. Głównym beneficjentem tego ruszenia zawsze bywało PSL. Jeśli tak będzie i w tym roku, w większości sejmików powinno udać się zniwelować ogólną przewagę PiS.

Po drugie, uwaga opinii publicznej koncentruje się na wyborach w wielkich miastach. A jest to obszar dominacji kandydatów, ogólnie rzecz biorąc, niepisowskich (tj. opowiadających się za liberalnym modelem modernizacji). Do tej pory – jeśli nie liczyć wywalczonej przed nastaniem wielkiej polaryzacji prezydentury Lecha Kaczyńskiego w stolicy – szczytem możliwości PiS było zdobycie Radomia. W tym roku może to się oczywiście zmienić. Jak wynika z sondaży, nie można wykluczyć prestiżowego zwycięstwa Małgorzaty Wassermann w Krakowie.

Ale już Patrykowi Jakiemu w kluczowym starciu w Warszawie nie udaje się w sondażach zbliżyć w drugiej turze do Rafała Trzaskowskiego. (Uczciwie trzeba jednak zaznaczyć, że same pracownice nie mają pewności, czy sondaże wyrażają opinię ludności napływowej z ostatnich kilku lat; to statystyczna grupa pochodząca w znacznej części ze ściany wschodniej). W pozostałych wielkich miastach PiS nie może liczyć na jakiegokolwiek trofeja.

Koalicja Obywatelska korzysta więc ze specyficznego wsparcia, które może zrównoważyć ewentualne skutki kiepskiego wyniku

procentowego. Tyle że są to jednorazowe dopalacze, za rok nie będzie po nich śladu. A sama kampania KO niespecjalnie pomogła w odnalezieniu nowych pokładów nadziei na przełamanie trendu.

Jeśli nie liczyć transferu Nowackiej, kampania nie wypromowała nowych twarzy. Zbladła gwiazda Rafała Trzaskowskiego, czego nie zmieni nawet jego wielce prawdopodobne zwycięstwo. I wcale nie z powodu słabości kandydata, tylko przez źle zaprojektowaną i niekonsekwentnie prowadzoną kampanię. Trzaskowski raz był zbyt eksperycki, to znów nazbyt gorliwie starał się skracać dystans z wyborcami. Bolesnym efektem tego miotania się było kilka ośmieszających wpadek, które – mimo ich błahości – pewnie na długo przylgną do tego polityka. A jak wiadomo, ze śmiesznością walczyć jest najtrudniej.

Tylko raz, i to na samym początku kampanii, udało się Platformie skutecznie ukąsić PiS. Chodzi oczywiście o kampanię „PiS wziął miliony”. Ostatnie problemy rządzących to z kolei efekt ujawnionego przez Onet.pl nagrania z Mateuszem Morawieckim. Na razie więcej jednak wskazuje, że to tylko wizerunkowy problem samego premiera. Rychłego kresu dominacji PiS nic nie zapowiada.

Miara sukcesu KO w tych wyborach będzie zapewne utrzymanie wspólnie z PSL 10–13 sejmików wojewódzkich (z obecnych 15). Taki rezultat pomógłby powstrzymać pełzającą orbanizację Polski. Nadkruszony zostałby też mit o niezwykłym PiS. Nie bez znaczenia są wreszcie instytucjonalne podstawy uprawiania polityki. Obecna opozycja żadnej bazy poza sejmikami i urzędami marszałkowskimi już nie posiada.

Z drugiej strony przyływ nie do końca uzasadnionego optymizmu utwierdziłby jednak Schetnę i jego otoczenie, że kierunek jest właściwy i niczego nie trzeba już zmieniać. Błogostan może jednak w przyszłości wiele kosztować.

Wynik wyborów w sejmikach trudno przewidzieć. Brakuje publicznie dostępnych prognoz. To kosztowne badania, realizowane na osobnych lokalnych próbach. Czasem tylko sztaby wyborcze zlecają dla siebie kompetentne raporty. Z ostatnich przecieków płynęły sygnały niezbyt optymistyczne dla Koalicji Obywatelskiej: 10 pkt proc. przewagi PiS i podział sejmików pół na pół. Gdyby tak miały się zakończyć wybory, opozycję zapewne czeka głęboka reforma.

Worek ze scenariuszami jest zresztą całkiem pękaty, choć wszystkie sprowadzają się do szerszej niż dziś integracji. Jako miejsce negocjacji wskazywany bywa Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie. W tym reaktywowanym niedawno historycznym ciele już teraz zasiadają liderzy głównych ugrupowań opozycyjnych. Istnieje więc neutralny grunt, na którym można negocjować szersze niż dziś porozumienie.

Inni mówią o dwóch etapach dochodzenia do jednej antypisowskiej listy. W wyborach do Parlamentu Europejskiego Koalicja Obywatelska będzie już poszerzona o PSL. Osobno wystartuje jednak lewica. Choć nikt nie wie, w jakim kształcie oraz ilu odsłonach. Krążą też trudne do zweryfikowania pogłoski o przygotowywanej liście obywatelskiej z udziałem intelektualistów oraz ekspertów. I raczej nie chodzi o sugerowaną kilka miesięcy temu listę pod patronatem Donalda Tuska, który aż do brexitu (czyli do końca marca 2019 r.) niemal na pewno będzie się powstrzymywał od ingerencji w krajową politykę.

Sytuacja zmieni się jednak diametralnie po majowych wyborach, które mogą skończyć się klęską podzielonej opozycji. Wtedy raczej nic już nie stanie na drodze do wyłonienia wspólnej listy w decydującym starciu o Sejm. A że brukselskie powinności szefa Rady Europejskiej też już będą wtedy wygasać, to i kwestia patronatu stanie się oczywista. Tyle spekulacji, choć życie zwykle sobie. Nie pozostaje więc nic innego, jak po prostu wziąć udział w wyborach. Rozsądnie rzecz jasna inwestując własny głos.

RAFAŁ KALUKIN